

DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 5 października 1844.

Rok piąty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 20 września 1844.

Stroje damskie. Jesień z swojemi zimnemi rankami i wieczorami coraz bardziej zbliża się, nie zatem dziwnego że wszystkie pracownie po większej części napełnione są strojami ku tej porze roku stosownymi. Mory, atłasy, axamity afrykańskie, są bardzo używane jako materie cięższe a przeto samo więcej od zimna ochraniające. Jednakże, gdy pomimo spóźnionej pory mamy jeszcze czasem i dnie piękne wspomnieć przeto niezawadzi o niektórych ubraniach letnich; i tak, suknia którąś niedawno na jednej z głównych przechadzek widzieli, warta jest być opisaną. Suknia ta była z bareżu różowego na spodnicy białej atlasowej; ze stanikiem dość wysoko zachodzącym, w pasie i u ramion zmarszczonym; rękawy gładkie, dość długie; drugie rękawy szeroko fałdowane w około ramienia i popodpinane wyżej łokcia; dodać jeszcze potrzeba że spodnica u tej sukni powinna być bardzo szeroko ubrana dwoma szerokimi obrąbkami, czyli zakładkami, a nad każdą z tych załadek powinna być przepaska axamitna.

Z kapeluszków najmodniejsze są: z axamitu afrykańskiego koloru białego ozdobione gałązką wierzbę płaczącą; z atłasu różowego mające za ustrój równiankę z kwiatów, która przedzielona jest tiulem zgrabnie ufałdowanym na środku kapelusza; obie strony tej równianki zakończają się liśćmi strzępiastymi. Kapotki z błękitnej krepy, z bukietem róż herbacianych, lub z krepy w fałdy układanej z równianką kwiatów jakie są tej porze roku właściwe: takie kapotki z tiulu karbowanego, z bukietem róż polnych itp.

Jedna ze znakomitych paryskich pracowni zaleca się pięknnością i doborem różnych rodzajów chustek

między którymi najwięcej pokupu mające są chustki polka które dobrym smakiem i delikatnością haftu przewyższają wszystkie inne.

Stroje męskie. Paletot tegoroczny ma formę następującą: jest on dość obcisły, tak, że go można wdziawać niebiorąc podspód fraka; klapy ma przyszywane, stan długi i szeroki, a poły fałdziste; kieszenie po bokach dają się ukośnie, guziki duże i w wielkich odstępach. Do takiego paletota kamizelka bierze się zwyczajna z małym kołnierzem z przodu w trójkąt wyłożonym. Spodnie szerokie niekiedy z lampasami; lub też tak że szwy boczne wypadają na wierzch stopy. Kończymy opis tego stroju uwagą że paletoty są najzawołanyszim artykułem mód jesiennych i jakkolwiek nowości w jego kroju jest niewiele wszelako ubiegają się przynajmniej o jego wymyślność.

Rycina przedstawia: suknię z mieniacej materii jedwabnej. Druga figura mantyle axamitną i kapelusz biały axamitny. Trzecia figura paletot obcisły do przechadzki, a który nieubiera się powierchu innej sukni; tudzież nbranie czterech głów.

UŚMIECH SZYDERCZY.

OBRAZ FANTASTYCZNY
PRZEZ

JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO.

Ciąg dalszy.

2.

»Nikt przed swoim uciec niemoże przeznaczeniem; zaczął raz jednego mówić do mnie nieznajomy; darmo nam tłumaczy i zgłębiają wszystko filozofowie, dna się nie dokopią; kamienną opokę niejedną przebija, i wodę, i glinę i piasek przebedą... nie błysnie im niebo z tamtąd... Im więcej rozbieram całą

przeszłość moją, przeglądam wszystkie obrazy jeden po drugim, rozważam przyczyny i skutki, tem więcęj przekonuję się że jest przeznaczenie z którego szponów, jak cię raz w nie porwie, już nie wydrzeć nie potrafi... Tak się stać wszystko musiało, jak się stało, póki nie zaszedłem tutaj, by zestarzeć w cudzym zimnym kraju, by złożyć zwłoki moje między temi krzyżami... tu będzie spokojnie, bo trupy się nie śmieją... Co jest to przeznaczenie?... co jest życie? czyż wiemy lepiej?... Przeznaczenie to anioł czasem w białej szacie; przeznaczenie, to szatan czasem w czarnej jak grzech szacie!...

Darmo się mu wywijałem, młodością, czuciem i wiarą; porwał mnie, i rozpalone pazury wepchnął w serce moje, i znamie w nim wycisnął niezatarte... Rospacz, i smutek bez końca!...

»O ja byłem wesoły, szalony, młody; myślą bujałem jak łudką swobodną po gładkiej perłowej kropłami, a srebrzystą falą toczącej się wodzie życia; a czucia moje! orły między niebem i ziemią krążące, śmiało spoglądały w słoneczny blask prawdy... Czy wierzysz temu, że ja byłem przystojny!... Pełną pierśią oddechałem, póki w nią przeznaczenie nie wcisnęło tyle żalu, bólu, i rozpacz, że miejsca na oddech zabrakło! I nie w jaką smutną godzinę, która nagle przepelźnie jak karłowate widmo, przestraszy i zaboli; nie w taką godzinę schwytało mnie przeznaczenie; ale wśród śmiechu i roskoszy, o godzinie, która strojna jak bachantka grecka przytańcowała do mnie w szalonym wirze wesołości!... Grono młodych rówieśników, towarzyszków zabaw i nauki otaczało mnie. Ty młody zrozumiesz ten czas, w którym żyjesz jeszcze, lub jeżeliś je porzucił już, on żywy drga w tobie wszystkimi pryzmatycznymi barwami swemi!... Najweselszy to w życiu, czas w szkołach przepędzony!... Jestto życie wspólne, w którym wszystkie koleżeńskie serca jednym biją tchnieniem! Przyjaźń szkolna!... śmieją się z ciebie zimne niedowiaraki, a przecież jedna to prawdziwa przyjaźń na świecie; bo tam niema jeszcze ziębiącego rachunku! Wspólna jest kasa pieniędzy, wspólna kasa myśli i uczuć!... z niej czerpaliliśmy wszyscy pełną garścią, a żyli jak bogowie, choć chmurą tytuniową otoczeni, choć ambrozią było skromne jadlo szkolne!...

Późny był wieczór; myśmy siedzieli razem, gwarzając wesoło o dniu jutrzejszym, który miał być pierwszym wakacji. Rozdział krutki nie smucił nas, bo każdy cieszył się swoim i towarzyszków szczęściem rojonem, na wsi, w domu rodziców, wśród grona kuzynek pięknych, witających przybyszów z uśmiechem przyrzekającym rokosz nowych myśli i uczuć

nowych. Pamiętam jakby to dzisiaj było; słyszę ich śmiechy i krzyki; szczególne nawet słowa brzmią w uszach moich: dla czegoż nie raduje się nimi dzisiaj jak w tenczas radowałem; dla czegoż te głosy brzmią dziś bez znaczenia, jakby głosy głuche ust umarłych?...

— Ja mam winnice; w nich cały dzień brodzić będę po uszy; powiadał jeden.

— U mojego ojca płaszczyzny jak świat szerokie, a zwierzyzny w nich jak piasku w morzu; cały dzień przebiegać je będę z fuzją w rękę: krzychał drugi.

— Ja mam kuzynkę, której oczy jak zwierściadło czarodziejskie pokazywać mi będą wszystkie cuda jakich tylko zapragnę; mówił trzeci.

— Ja mam poezciwą babkę starą z kabałą, która najcudowniejsze zgaduje rzeczy; a dziadka, co lepsze od wschodnich jak zacznie rozpowiadać powieści, znika granica między snem i życiem; życie jak sen przechodzi, sny ulatują jaskrawe jak życia obrazy: wykrzykiwał inny.

»Tak gwarzyliśmy, a toast po toście coraz głośniejsze, coraz weselsze wyzywały losy w szranki. Pamiętam, że ja go wyzywałem najzuchwalej, i najwięcej skarany zostałem, bom wierzył w to życie jak w prawdę niezmienną. Godziny ulatywały, północ wybiła na zegarze miejskim, który nam tyle rozmaitych odegrał godzin.«

— Godzina duchów wybiła! zawołał jeden.

»I prawda! wystąpiły duchy nasze własne na jaw; każdy kielich niszczył ciało, a dusze bujały wysoko i daleko, szeroko i głęboko.«

— Co nam duchy! krzyknąłem; ja nie wierzę w nie okropnego.

— Ciszej! ciszej! śmieli się drudzy.

— Nie wierzę w okropności grobowe; krzychałem półpijany, i podniosłem nowy kielich: one nas przemódz nie mogą, póki trwa u nas wiara w naszą przyjaźń!...

— Brawo! przyjaźń niech żyje! krzyknęli.

— Przyjaźń niech żyje powtórzyłem. Jeden drugiemu podawali pełne kielichy. Stało się tak że ja nie zaraz wypilem, bom zamarzył w tej chwili, a gdy podniosłem oczy, już wszyscy wypili. Wypilem, i szukając oczyma komuby oddać kielich, wyciągnąłem rękę. Do ciebie! krzyknąłem pewny że znajdę zawsze chętnego....

— Do ciebie! powtórzyć chciałem, i głos mi ustał, krew się ścięła w żyłach, włosy podnieśli do góry. Nikt kielicha nie odebrał mego; a z tamtąd, z kąta, gdzie rękę wyciągnąłem ujrzałem uśmiech szyderczy, uśmiech tak zjadliwy jak żony podającej

truciznę mężowi, tak okropny jak przyjaciela gdy zdradza, kochanki gdy się sprzedaje. Darmo oczy natężam; tam z kąta wyszczerza się uśmiech niezmiennie szyderyczy, uśmiech szatana. Rozumiesz teraz? to był uśmiech przeznaczenia mego!...

— Któryś zapewne z towarzyszków uśmiechnął się pijanym skrzywieniem: przerwałem nieznajomemu.

— I ja tak tłumaczyłem sobie, bo ludzie wszystko chcą wytłumaczyć, a czego nie potrafią, to przerobią jak suknie olbrzyma na karli swój rozmiar. Ja się porwałem do jednego z towarzyszków moich, który był z strón moich rodzinnych, i którego ponurość odstraszała nas. Okrzyczeli mnie pijanym. Ja byłem trzeźwy; oni byli pijani, i choć rzucony na łożko przez towarzyszy, gdy oni pili, ja myślałem, marzyłem, i pojąłem... To był uśmiech przeznaczenia mego, którym zaszydziło ze mnie, i szyderyczym pozostał na zawsze!... To był uśmiech doświadczenia o lodowatym dotknięciu warzącym wszystkie uczuć kwiaty! I poznałem szczątki i odcienia przeszłości które się zlały w ten uśmiech mający być godłem przyszłości mojej! Był w nim pamiętny mi uśmiech ojca mego, gdy go matka moja porzuciła z młodym oficerem... Był tam uśmiech starszego brata mego, który odjeżdżającemu bratu radził by został wieśniakiem!... Był tam uśmiech starszej siostry mojej, gdy mnie w zimno i wiatr kazała pilnować przy drzwiach, za którymi zchadzała się z sąsiedniego domu młodym dziedzicem.

»Darmo mi tłumaczyli; może i ten się zaśmiał, ale on by w swojej twarzy nie zdołał pomieścić tyle odcieni; byłaby się twarz jego rozskoczyła od nadludzkich natężeń, rozleciałaby się na drgające członki gadziny z jadliwej. Inny to był uśmiech, i ten pozostał w życiu mojem na zawsze...«

— Na zawsze? szepnąłem.

»— Przez całe życie moje zdybywałem wszędzie ten uśmiech szyderyczy.«

— Więc wszystkie twarze miały dla ciebie ten uśmiech przerwałem znowu, patrząc z uwagą i politowaniem na nieznajomego, którego obłąkanie widocznem mi się zdawało.

»— O mędrkowie o pulgłowach!... uśmiech przeznaczenia musi mieć dla was ciało!... a w duchy niewierzysz także?... a to była przecie mara uśmiechu, i dla tego tak straszna!... I towarzysze moi, włożyli mnie w łożko, otoczyli lekarzami i pijawkami, okrzyczeli obłąkanym; leżałem spokojny, i marzyłem o przyszłości mojej: oni ten stan zdrowszy od ich głupoty nazwali gorączką muzgową!... Czemuż, ach czemuż, obudziłem się z tego stanu?...«

3.

»Darmo starałem się uspokoić; mówił nieznajomy dalej; w spokojnem zakonnem prawie życiu domu ojcowskiego. Były tam jeszcze chwile złote, jak spokojnego jeziora powierzchnia ozłocona pogodnemi promieniami słońca, choć w głębi na dnie drzymał polip o stu ramionach. Straciłem do reszty dawną weselość w pośród smutnego otoczenia. Mój ojciec był to zimny i zamknięty w sobie człowiek; rzadko kiedy przemawiał słowy prawdy wewnętrznej, którą chował na samotną rozmowę z sobą samym; dla ludzi i świata miał maskę nieprzebitą, a na niej czasem konwulsyjnem drzeniem zadrgało coś koło ust... to był uśmiech!... ile razy go ujrzałem ból nieznosny ścisnął me serce!... Mój ojciec kochał matkę moją namiętnie; dla niej poświęcił wszystko, bo się z całą rodziną, którą dla potomka świetnego rodu, niechciała córki kupeców; a przecież porzuciła go, i troje dzieci zostawiwszy w domu, poszła z urodzicielem swoim w cudzy świat: od tej chwili zmienił się mój ojciec do niepoznania!...«

»Im więcej się zastanawiam, tem wyraźniejszą wydaje mi się ta tkanina przeznaczenia, która nieznacznie węzełek po węzełku tworzy sieć, by w nią złapać na zawsze ofiary swoje. Przeznaczenie moje było, i musiało być skutkiem usposobień i win ojca i matki!«

»Z dzieciństwa mego pamiętam tę okropną scenę; w nocy w śród burzy, która wściekle tłukła o stare mury naszego zamku, stał mój ojciec z listem w ręku; był to list matki mojej żegnającej go; okropniejsza burza nad burzę natury, zawrzała na twarzy jego; i roześmiał się, ale śmiechem, który zagłuszył straszny ryk wichru. Zbudzone dziecko przestraszyłem się, i zabolalo mnie... taki sam ból uczulem w dzień bankietu szkolnego.«

»Była jeszcze w domu ojca mego dziewczyna młoda!... O mój boże, lata minęły, i serce skurczyły mrozem wieku, a przecież drzę cały, gdy sobie przypominę, tę postać anielską, białą o jasnych włosach, kibici giętkiej i ulotnej, oczach niebieskich, jak nasze niebo południowe. Wyglądała jak dziewczyna pieśni ossianowych; była nawet w koło niej, na twarzy i w oczach ta mgła tajemnicza rodząca smutek i marzenie. Nikt nie wiedział jej rodu, prócz ojca mojego; czy sama wiedziała, wątpię. Bo przed laty, było to także w nocy równie burzliwej, jesiennej; huk wiatru, szum morza bliskiego, przerywał ciszę zamkową, gdy mój ojciec powrócił z dalekiej podróży. Okropnie blado wyglądał; konwulsyjne drzenie oświecało ponurą twarz. Zrzucił płaszcz, a pod nim było piękne jak

aniołek dziecko; zbudzona ze snu uśmiechała się tak lubo, aż się rozjaśniły ciemne smutnego zamku komnaty. Brat mój i siostra złośliwie zawistne rzucili na nią spojrzenia; ja pobiegłem z radością ku lepszej od rodzeństwa siostrze, którą przeczuwałem w tem białem uroczem dziecięciu. Mój ojciec spojrzał na nas i osądził; wzrok jaki zwrucił na rodzeństwo moje, a potem na mnie rzucił nasienie pierwsze rodzinnej w domu niezgody. Sam nieczuły na wszystko skamieniał zupełnie!...

»Były chwile złote powtarzam, kiedy sami, ja i Malwina siedzieliśmy na skale, z kąd się rozciągał widok czarujący na morze okolone cudownie rysowanymi nadbrzeżami. Sami już byliśmy w zamku; brat mój który mnie chciał widzieć xiedzem zginął w pojedynku, a siostra uciekła z młodym sąsiadem, i zginęła bez wieści. Ja kochałem Malwinę, choć jej tego słowa powiedzieć nie śmiałem, z całą namiętnością młodości i rozpacz, bo z rozpaczą chwytałem się tego anioła, by mnie ratował od ciemnego przeznaczenia, które zdawało się czychać na mnie, z każdego kąta zamkowego, przeczuciem, jak orężem Damoklesa wisiało nademną. W niebie jej oczów szukałem ratunku i współczucia!... Ona była tak czuła, tak dobrą i przyjazną dla mnie, że choć zapалу kochanki dopatrzeć nie mogłem, choć mi tylko siostrą była, były to przecie godziny raju godne. Czasem smutek jakiś głębszy oblatniał jej twarz; były to dla mnie chwile bolesnej niepewności i bojaźni; a przecież gdyby jedna taka chwila, jedna z najgorszych z najpośledniejszych, jakich przeszło w ten czas tyle... taka jedna zdołałaby ośłodzić całą tyloletniem cierpieniem zebraną we mnie cierpkosć. W spojrzeniu Malwiny była taka słodka rzewność, że przed niem rozpacz i bojaźń moja jak chmury złowrogie rozplwały deszczem łez. A szczęście to jeszcze kiedy płakać można; ostatnia łza, to ostatnia perła ze skarbeca młodości i czucia!...

»Nie wracałem już do towarzyszków moich szkolnych, bo ojciec mój codzień był słabszy, codzień bledszy; twarz jego ocieniały już skrzydła śmierci!... I przyszła, jak wszystko złe do domu naszego w noc jesienną i burzliwą... Cicho było w pokoju; lampa samotna ledwie zdołała oświecić ciemnie wielkiej i sklepionej komnaty, w której spoczywał mój ojciec na łożu boleści rozłożony; staliśmy oboje z Malwiną słuchając rzadkiego i przerywanego oddechu, który tak ciężko dobywał się z piersi słabego, iż mi się wydał jakby ostatnie konające wysilenie burzy, która go zwalczyła. Zawył wiatr, zajęczał chorągiewką na dachu, zapiszczał po wązkich kurytarzach zamkowych;

głośniejszem westchnieniem powrócił mój ojciec do chwilowej przytomności. Padliśmy oboje na kolana. Wśród najokropniejszego huku wiatru łamiącego odwieczne drzewa ogrodowe, szumu morza krzyczącego jakby głosem ludu wzburzonego podniósł chude ręce, i błogosławił nas.«

— To błogosławieństwo niech spadnie przekleństwem na głowy wasze, jeżeli się nie pobierzecie!... mówił ojciec z ostatniem sił wytężeniem.

»Wyciągnąłem ręce ku Malwinie; przestraszona burzą i groźnemi słowy ojca oparła się o mnie zamykając oczy.«

— Arturze! mówił słaby dalej; to twoja żona i pamiętaj że ja przysięgałem tym związkiem okupić zabójstwo!... Tak Arturze, twój ojciec jest zabójcą!... ja zabiłem zwodziciela matki twojej, a to jest córka jego pierwszej i prawej żony, którą tak porzucił, jak mnie żona moja!... papiery znajdziesz w szkatułce mojej... jest tam list także twojego ojca, zaklinającego cię pod ojcowskiem błogosławieństwem, byś uszczęśliwiając jedno z dzieci moich, zmasała jego okropne przewinienie względem mnie!... Przysięgnijcie!...

— Przysięgam! zawołałem, cisnąc Malwinę do serca.

— Przysięgam! szepnęła Malwina, ledwie dosłyszonym głosem.

— Dziękuję wam!... Chciał się jeszcze uśmiechnąć, ale był to już tylko ostatni ruch konwulsyjny łamiących się sił żywotnych.

»Huk do pioruna podobny rozległ się po zamku; stara wieża narożna zawałiła się... Mój ojciec już nie żył, a na twarzy jego ostatnia próba uśmiechu wyszczerzała się do mnie uśmiechem szyderczym przeznaczenia mego.«

»Po długim milczeniu ciągnął nieznajomy dalej; oczy coraz więcej okazywały oblakania, a głos stawał się ostrzejszy.«

»Wiosna była; wiosniane uczucia nowym zaczęły mnie ożywiać życiem. Malwina powiedziała że będzie moją. Wszystkimi siłami odpychałem od siebie ciemne myśli i uczucia, mniemając że szatan przeznaczenia mego ubłagany śmiercią ojca mego, i anielską czystością Malwiny odstąpił na zawsze. Nagliłem, błagałem, drzałem z niecierpliwości, i mimowolnej bojaźni, aż przyszedł nareszcie dzień ślubu mego. Malwina rzekła do mnie.

»Oddaję się tobie, bo takie jest przeznaczenie moje!«

»W nocy bez świadków prawie prócz domowników w kaplicy zamkowej klęczeliśmy oboje przed ołtarzem. W tej chwili zwiastującej inne życie myśla-

łem tylko o szczęściu, tylko o Malwinie, której twarz
 tuż koło mojej wonnym oddechem mnie czarowała.
 Już xiądz zamieniał obrączki, powiązał ręce stułą;
 spojrzenie pełne rokoszy niewymownej odwruciłem,
 uczucie pełne, które mi piersi rozeprzeć groziło chcia-
 łem wylać z siebie modlitwą; zwróciłem się do bocze-
 nego ołtarza, pod którym spoczywały zwłoki ojca
 mego, i... ujrzałem, tam z ciemnego kąta, uśmiech
 mi znajomy, okropny... uśmiech szyderezy!...«

— Tam ktoś stał!... krzyknąłem.

— O zimny niedowiarku! odpowiedział nieznajo-
 my głosem zmienionym: nikt nie stał!... nikt!... tylko
 uśmiech szyderski wyszczerzył się do mnie!... Krzy-
 knąłem przeraźliwie; uśmiech znikł; a moja żona le-
 żała blada jak posąg, bez zmysłów u stóp moich.
 Tak się odbył ślub nasz; szatan przeznaczenia mego
 porwał swoją ofiarę; i już jej nie puścił na chwilę...

Przerwał nieznajomy, i drżał okropnie, a oczy
 zamykał krzycząc przeraźliwie.

— Teraz ja stary boję się jeszcze zobaczyć ten
 uśmiech okropny, i czuję tu w duszy, że go jeszcze
 raz zobaczę; raz ostatni zaśmieje mi się śmiercią.
 Ty nie pojmujesz tego uśmiechu, w którym wszystkie
 mieszcza się najokropniejsze szyderstwa szatańskie.

Nie miałem słów do odpowiedzenia, tak bowiem
 okropnie prawdziwy był wyraz twarzy nieznajomego,
 że mimo całego rozumowego przekonania mego, o
 jego obłąkanym stanie, bałem się by mnie ten uśmiech
 duchowy nie przewidział się.

I długie nastało milczenie.

Dokończenie nastąpi.

Pod ziemią!

Pod ziemią! pod ziemią! daleko od ludzi,

O! byle cichego gdzie chronu.

Ich śmiech mnie tak razi, ich głos mnie tak trzusi

Jak pobrząk grobnego podzwonu.

Próg domu nabiłbym ostremi kołcami,

I lwa bym umieścił przed progiem,

Bym raz już sam został z moimi myślami,

Z moimi myślami i z bogiem.

By nikt mi gadkami codziennych wydarzeń

Nikt myślą zbrukaną, jałową,

Nie psował świecące obrazy mych marzeń

Gdy dumam z zchyloną w dłoń głową.

I chciałbym mieć grodziec z twardego granitu,

By nie miał ni okien, ni wchodu;

Miał dachu niech widzę sklepienia błękitu

I wierzechy drzew kwiatnych ogrodu.

Powojem niech do mnie wspinają się róże,

Orłowie po niebie niech lecą,

Niech czasem pioruny płomienia się w chmurze,

W noc cichą niech gwiazdy mi świecą.

I byłbym szczęśliwy daleki od wrzasków,

Od śmiechów cynicznych mołochu,

Daleki od podłych zawiści niesnasków,

Kto głębiej zanurzył skroń w prochu.

I byłbym szczęśliwy, lecz niech was nie widzę

Od grodzmy się morzem dalekiem,

Gdy wglądnę w pierś wąż, raz pierwszy się wstydzę

Że byłem zrodzony człowiekiem.

Nieznany gdy błądzę w waszym mrowim tłumie

Nie wita mnie żaden duch bratni,

A mnie się wydaje w mej wzgardzie a dumie

Żem z bożych proroków ostatni.

Otoczcież mnie takim pokojem i ciszą,

Bym słyszał jak duchy pokrewne

Wieszczemi się skrzydły nad ziemią kołysza,

I w żale rozwodzą się spiewne.

A gdy nikt nie wyjdzie naprzeciw mych dążeń,

Mnie ciszy nie szukać daleko,

Pod ręką jest ziemia głęboka na sążeń,

I drewna kawałek na wieko.

Kornel Ujejski

Ustęp z wizyty nieostatniej.

— »Już takam szczęśliwa z moim panem Angli-
 kiem, prawdziwie, nienależy nigdy zwątpić o sobie,
 bo jest ktoś, co czuwa nad wszystkiemi, a biedne
 wdowy, w myśli: ach jakież złudzenie! biedne od mę-
 żów opuszczone, chciałam, powiedzieć, w szczegól-
 nej zachowuje pieczy. Bo i cóżbym z moim tak ży-
 wym Mundziem poczęła, choć to dziecko bardzo dobre
 i talentów mu nie brakuje, jak dostrzega pan Anglik.«

— »Czy ten pan, który się wychowaniem jej synka
 trudni, jest Anglikiem doprawdy?«

— »Więcej jeszcze moja pani, bo posiada język
 z gramatyk i książek, i tak nim włada, że nic prócz
 angielskiego nie czyta, a co dziwna, jest tutejszym,
 tu w Polsce zrodzonym i wychowanym. Ale jak mó-
 wię, nie prawie z dzieł polskich nie czytał, nie trzy-
 ma je nawet, bo powiada, że zbyt jeszcze nisko ję-
 zyk i literatura polska stoi, że dzieł wielkich w tym
 języku wcale niema, i że trzeba by wyrzec się postę-
 pu, by chcieć się polszczyźnie oddawać. I bardzo ma
 słusznie, bo *voyex*, ani taką cywilizacją ani takimi
 pisarzami, jakich ma Anglia, nieposzczyci się Polska.«

— »Więc coż czytuje najwięcej pan Anglik?«

— »Dzieła ściśle naukowe. Bo *voyez*, nauki nam przedewszystkiem potrzeba, tak mówi zawsze. I teraz na przykład oddaje się przyrodoznictwu, i to z taką gorliwością, że przyznam się pani, i ja nabrałam ochoty, i od jakiegoś czasu historia naturalna stała się u nas manją. Wszystko co żyje i rusza się w domu, biega za motylkami, ptaszkami, muszkami, trawkami, my zaś oboje zwykle dochodzimy, odkrywamy znamiona rodzajowe, zastosowujemy doświadczenia, jakie w tej mierze poczynili Lineusz i Cuvier, ależ *voyez*, oto i sam nasz naturalista!«

Wchodzi figura dość rośła, dość dobrej tuszy, i kolorów twarzy więcej jak zdrowych, z siatką w jednym, z kapeluszem motylami obtkanym w drugim ręku.

— »Zawsze w pracy, zawsze za jednym pan gonisz; co za wytrwałość? Czy znalazłeś pan może co nowego?«

— »O ile mi się zdaje, to nie. Byli jakieś motyle daleka nowe, ale gdym ich złapał, przekonałem się, że takie, jak mamy w domu.«

— »Więc daremnie trudniłeś się pan, i przejazdka tą razą nieudała się wcale.«

— »Przeciwnie ja chcę różnicy nawet o mil kilka dochodzić, i naszpiliłem wszystko, co tylko złapałem;« — spoziera w ogród. — Ależ jak precudny falter przeleciał znowu, biegnijmy! biegnijmy!«

I jednym skokiem już był w ogrodzie, już go skryły krzewy, siatka tylko dość wysoko zdjęta nad krzewy powiewając, świadczyła (którędy falter pomyka, a milej nauki współniczka mimo tuszy wiekowej, muszkuły wypręża, i choć z trudnością, przecież także za białą siatką i precudownym falterem pospiesza, bo zastosowanie odkryć Lineusza i Cuviera ma się odbyć wspólnie.

Ale gdzież synek mały, w którym pan Anglik coraz nowe talenta odkrywa? czy także przypatruje się badaniom natury? O nie, on ma od mamy surowo nakazane, nienudzić pana guwernera, ale z pocziwym sługą Mazurem grać w piłkę; nie przychodzić, aż na zawołanie.

Malwina.

Słów niektórych kilkaset.

W nadzwyczajnym dodatku do numeru 30go Rozmaitości znalazłem sprostowanie pomyłek jakich miała się dopuścić redakcja Album, w artykule pana Apoloniusza Tomkowicza: o księstwach Oświęcimskim i Zatorskim. Winienem przeto tłumaczyć się, aby broń

boże nie wzięła publiczność za przestępstwo cudzoziemskiego drukarza tego, co uczyniła redakcja z umysłu i przez wzgląd na rozsądnych czytelników. Albowiem mamto sprostowanie pomyłek dopiero za prawdziwą pomyłkę, owe zaś mniemane błędy za żądanie, i to z następujących przyczyn. Redakcja odmieniła napis: O Księstwach oświęcimskim i zatorskim słowo niektóre, ponieważ brakowało mu sensu. Prawda iżby się znalazł gdybyśmy uprzedzili czytelników, że pod słowem (jak powiada szanowny komentator) należy rozumieć że o tych księstwach możnaby książkę napisać, pod niektóre zaś że to co napisano nie jest systematyczne. Już każdy okres potrzebujący do boku swego adjutantów, to jest nieznośnie długich komentarzy, śmieszny jest i dziwaczny, co dopiero powiemy o tytule któryby nie mógł bez wielkiej świty stanąć na przodku? Wyglądałoby to jak nowy budynek który jednocześnie z wystawieniem słupami podparto. Nie lepiejże stawiać od razu tak aby nie było potrzeba podpory? Słaby to architekt co na komentarze się spuszcza. Krótko mówiąc niech przynajmniej w tytule będzie sens jasny i konieczny, to jest nie taki jakby go podsunąć chciał autor czasami metafizyczny ale taki jak go po staremu wyrażają słowa których użył. Zachodzi jednak inne pytanie, czy godzi się redakcji dla przekonania swoich odmieniać rękopism bez odniesienia do autora? Odpowiadam, niegodzi, chociażby nawet chodziło o usunięcie nielogiczności gdyż bywają autorowie uporeczywie przy niej obstający. Ale kiedy po ś. p. bracie redakcję Album objąłem, artykuł pana Tomkowicza już był drukowany, postrzegłem w prawdzie zmianę w napisie, uważałem że jest rozsądną i myślałem że nastąpiła za zezwoleniem autora. Niech szanowny autor raczy uważać, że redakcja jest także odpowiedzialną za niedorzeczności artykułów, które umieszcza: gdyby zatem w zajęciach podobnych nie mogła się porozumieć i zgodzić z autorem, niech nie drukuje. Artykuł więc p. Tomkowicza nie byłby drukowany? Jest też i komu, bo obejmuje spis paruset miasteczek i wiosek w porządku alfabetycznym. Szkoda tylko i nieodżałowana że opuszczono jeszcze wieś Jaszczurowa, ale coż robić? Szanowny autor nazywa to niepojętem zdarzeniem, lecz mnie się zdaje, że to poprostu pisarz opuścił, i nie pozywajmy go za to przed sąd potomności.

Co do pisowni rzecz się ma inaczej, tu redakcja może sobie pozwalać wszelkich odmian dla zasad które przyjęła, autor zaś nie może żądać aby jego kilka stron wytloczono z inną pisownią niż resztę dwadzieścia arkuszy. Dopierożbyto w książce z pism ró-

żnych autorów złożonej sprawiło oszpeccenie i gmatwanie. Bo autorowie w tym względzie bardzo bywają wybrydni i miewają nieraz najzabawniejsze widzimisia. Niektórzy z nich upatrują rodowość w samych nawet literach uważając literę *x* za obcą bo łacińską a *k* za rodowitą; a przecież wszystkim wiadomo, że obie te głoski jednego są początku i *k* znajduje się w abecadle greckiem w tej samej nawet co u nas postaci. Niechby nam wykryli ci znawcy dziejów ojczystych o jakich chwała bogu dziś trudno któreto litery są nasze rodzime? bo do tychczas miało wszystkie za pochodnie, za obce. Podobno naszem rodowitemi literami nie moglibyśmy i słoweczka napisać. Nie posuwajmyż tak zagorzałe patryotyizmu. Piszmy zgłoskami jakie mamy, zkądkolwiek one są, byleśmy ich tylko na dobre używali. Powiada p. Tomkowicz, iż opierając się na licznych nowszych pisarzy wzorach i zaleceniach pisze księstwo, książka, i t. p., redakciia Album zaś pisała z tych samych przyczyn xięstwo i xiążka, bo najpierwszy z naszych pisarzy najpierwszy z współczesnych pisarzy w Europie Adam Mićkiewicz tak zawsze pisał i pisze, a i towarzystwo przyjaćciół nauk ustalając pisownię naszą, tak pisać zaleca. Żąda pan Tomkowicz dalej ażeby pisać Śląsk dla tego że od rzeki Slezy pochodzi. Ależ naród wyrabia i upowszechnia brzmienia nie według ich pochodzeń ale według ducha języka, według potrzeb ucha, według pojęć swoich o harmonii i dobitności, przez co imiona własne nawet podlegają nieraz zmianie. Zastawia się p. Tomkowicz powagą dziesięciu pisarzy ale moglibyśmy przytoczyć mu na odwet liczniejszy jeszcze szereg znakomitych imion między którymi bez popisywania się z erudycją abecadłową, znalazłby się i Naruszewicz i Lelewel i postanowienia towarzystwa przyjaćciół nauk. A że autorowie przez p. Tomkowicza przytoczeni nie mogą być ostateczną wyrocznią, to zdaje się przypuszczać sam p. Tomkowicz, bo tylko przez połowę im wierzy, żądając aby pierwszą połowę słowa Śląsk pisać jak oni, drugą zaś połowę inaczej. W pierwszej więc połowie powaga pisarska służy przeciw powszechnemu używaniu a w drugiej powszechne używanie przeciw powadze pisarskiej, Redakciia Album nie trzymała się tej zasady.

Co do przypisków, redakciia wypuściła wywód kasztelanów drączkowych jako dawną nowinę aby nie zdradzić właściwej niewiadomości i chęci popisywania się starymi gratami jak osobliwością. Nie śmieliśmy czytelników naszych uważać za żaków dla których każda wiadomość jest trudną do uwierzenia, dopokąd nie zajrzą w geografję Łubieńskiego. Opu-

ściła także redakciia przypisek rozwodzący się nad tem, czy od Henryka czy od Jędrzeja powstała nazwa Andrychowa, gdyż ciekawość tak pedancka nie miała w jej oczach żadnej wartości, nie prowadziła do żadnych rezultatów. Ktoby zaś sobie głowę nad tem rozbijał, nie żałujemy go. Będzie to rozbicie statku angielskiego wiozącego opium na odurzenie Chińczyków.

Że zaś wspominając o deputatach zamiast pierwszego wydrukowano jednego, wina w tym szanownego autora gdyż nie napisał tego zgłoskami tylko oznaczył liczbą, a każdemu wiadomo jak w takim razie liczby czytać wypada zwłaszcza przy godnościach i imionach własnych. I tak senator I. Karol I. mamyż czytać, senator jeden, Karol jeden itp.

Aby nareszcie oszczędzeniem siebie, świętości prawdy nie ubliżyć, przyznaje się redakciia do jednego z błędów wytkniętych. Nie stał się on nadzwyczajnym sposobem, owszem bardzo zwyczajnie. Nie wiedziałem czy Proszowicami czy Proszowem nazywało się miasteczko gdzie odbywało sejmiki województwo Krakowskie. Drukarsz wytłoczył Proszów a przysyłając korektę rękopismu nie przysłał.

Kormanice 16. Sierpnia 1844.

Leszek Dunin Borkowski.

Nowości literackie.

Nakładem Jana Milikowskiego, wyszło świeżo z druku, powtórne poprawne wydanie Przygód Benedykta Winnickiego, wierszem opisanych przez Wincentego Pola. Wydanie jest ozdobne i staranne, zewszehmiar godne tej tak pięknej powiastki, a tak dobrze znanej, że o niej jak i o szanownym autorze jedno i ogólne jest już tylko zdanie.

Nakładem K. Jabłońskiego, wyszły z pod prasy następujące dzieła. Ballady Fryderyka Szylera, oddział pierwszy. Tłomaczenie A. Gorczyńskiego, na pięknym welinowym papierze, 8. Bochnia, r. 1844.

Poezje liryczne F. Szylera, oddział drugi. Tłomaczenie A. Gorczyńskiego, równie na welinowym papierze, 8vo. Bochnia 1844.

T E A T R.

Gościnne wystąpienia p. Chomińskiego, artysty teatru krakowskiego, nie małą zrobiły nam przyjemność, nie można bowiem w nim nie dostrzedz prawdziwego talentu pełnego ognia i życia, które poparte doświadczeniem i pracą, zdołają go zapewne na znakomitego wyprowadzić artystę. Szkoda tylko że w tak niewdzięcznych występował rolach, z których wspomniemy po krótko o jednej tylko, bo najwięcej zastosowanej do jego gry, to jest o roli Jaromira, w *Matce rodu Dobratyńskich*, w tym potworze dramatycznym z twarzą ducha, stopą mary nonej, dłonią w sztylet zbrojną, zbrodnią w sercu, a strojnym w liczne kwiaty poezii, pomiędzy którymi są za prawdę prawdziwie świeże i wonne. Niebezpieczna to była ze wszech miar rola dla p. Chomińskiego, i nienaturalną przesadziłością swoją i pamiętką wybornej gry p. Smochowskiego przykuła dla nas na zawsze do tej roli. Przełamywał te trudności p. Chomiński z prawdziwym zapalem, i choć nie zdołał wygluzować z pamięci wspomnianego artystę, eddał jednakże rolę swoją z wielkim czuciem, okropną prawdą, a nateżeniem za zbyt czynnym nawet. W tym to nateżeniu głosu główny błąd upatrywaliśmy, błąd podwójny, bo fałszujący czasem prawdę roli wymagającej tu i owdzie spokojniejszych odcieniów, bo niebezpieczny dla i tak słabych piersi p. Chomińskiego, które ledwie do końca wystarczyć mogły. Ekonomia głosu dobrze zrozumiana jest dla aktora konieczną, jest bowiem z jednej strony częścią talentu, a z drugiej warunkiem jego budżetu na przyszłość. Deklamacja p. Chomińskiego jest pełna i wyraźna, często cieniowana aż do lekkości doskonale oddającej przechodnie, chwilą wydmuchnięte uczucia; głos jego jest giętki i dźwięczny, miękkością swoją więcej może zdalny do mowy salonowej niżeli do tragicznej. Przytem ruchy ma zgrabne, nieraz energiczne, twarz choć nie wzorowie piękną, ale wydatną, obszerną dosyć, a ożywioną oczami wielkimi. Twarz zaś i oko to większa połowa całego aktora. Twarz wielkiego aktora powinna być wielka koniecznie, by się na niej wszystkie wrażenia wydatnie falowały, bez tego skrzywienia przykrego jakim zwykle przemawiają małe twarze aktorów chcących oddać widomie zmiany uczuć. Wracając do p. Chomińskiego, szkoda że go niemożemy u nas zatrzymać, po tych bowiem rolach, które odegrał miarkując, najzdatniej-

szym byłby on do ról szlachetniejszych kochanków, których brak nieraz czuć się nam daje.

☞ Pan Antoni Weidel rysownik z akademii wiedeńskiej, sprowadzony z Wiednia dla rysowania figur do dziennika mód paryskich, zbywające godziny życzy sobie poświęcić na udzielanie lekcji rysunków to jest: okolic, bukietów i biustów, ma bowiem niemałe uzdolnienie w tym zawodzie; najlepiej świadczy o tem figury w dzienniku naszym umieszczone, że w tak małych postawach kształt budowy ciała najdokładniej oddaje. Życzące osoby brać lekcje czyto w własnym pomieszkaniu, czy też u pana Weidla, raczą się zgłosić do redakcji dziennika mód pod liczbą 301, w mieście.

☞ Wiadomo już jak wielkiego użytku jest nowo teraz wynalezione oświecenie pokoi za pomocą płynu spirytusowego dającego światło omal nie jaśniejsze od gazu, a o wiele tańsze. Dotąd czuć się u nas dawał brak lamp, które naumyślnie do tego oświecenia sporządzone być muszą, a których sprowadzenie z Wiednia niemało trudów i kosztu przynosiło; tem spowodowany p. Augustyn Hilgartner, założył w swoim sklepie na ulicy Dykasterialnej pod liczbą 58, skład takowych lamp, które tem od innych tego rodzaju odznaczają się, że sposobem przez niego użytym płyn oświecający traci wszelką woń przykrą. Lampy te są o 5, 7, i 9 płomykach, a ceny są o ile być może najtańsze. Pan Augustyn Hilgartner tem bardziej na zaszczytne zasługuje wspomnienie, że już od dawna wszelką łoży staranność w celu dogodzenia publiczności, i tak, niemałym kosztem sprowadził maszynę, za pomocą której w nadzwyczaj prędkim czasie, wszelkie metalowe naczynia w najrozmaitsze wyciska wory. Przyjmuje także obstalunki podług własnego gustu lub danego modelu na lampy do oliwy, także oleju do oświecenia ulic i kurytarzy, tudzież maszyny do kawy i herbaty; równie jak i innych wyrobów mosiężnych i blaszanych różnego kształtu i użytku, a wszystkie odznaczają się doskonałym i wytwornym wyrobieniem.